

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JOHANNA SPYRI

HEIDI

ROZDZIAŁ I

W DRODZE DO HALNEGO STRYJKA

Od cichego, starego miasteczka wiodła ścieżka przez zielone, zadrzewione łąki do stóp gór, które z tej strony wysokie i poważne spoglądały w dolinę. W miejscu, gdzie ścieżka zaczyna wspinać się wzwyż, ciągną się wrzosowiska z krótką trawą, gęsto przetykaną soczystymi ziołami górskimi, które rozsiewają swą mocną woń wokół. Ścieżka ta wiodła stromo ku Alpom.

Tą właśnie drogą szła pewnego słonecznego, czerwcowego ranka rosła, silnie wyglądająca dziewczyna, góralka z tych stron, prowadząc za rękę dziecko, które miało tak rozpromienione policzki, że czerwień ich przeświecała poprzez opaloną na brązowo skórę. Ale nic dziwnego. Dziecko, mimo upalnego dnia czerwcowego, było opatulone, jak podczas wielkiego mrozu. Mała dziewczynka miała zaledwie pięć lat. Trudno jednak było się domyślić, jakie były jej właściwe kształty, gdyż miała na sobie dwie czy trzy sukienki, a na tym wszystkim dużą czerwoną chustkę, przewiazaną z tyłu. Wyglądała jak niekształtna bryła, której nogi, tkwiące w dużych, podkutych gwoździemi góralskich butach, z trudem wspinały się pod górę, zanim przybyły do wioski, położonej na połowie drogi do hali. Tutaj z każdego niemal domu, to z okna, to z drzwi wołano na idące, gdyż znalazły się między swoimi. Nigdzie się jednak nie zatrzymywały, tylko w przejściu odpowiadały na pozdrowienia i ukłony, aż doszły do końca wsi, do ostatnich jej zabudowań. Nagle z jednych drzwi doszło je wołanie

– Zaczekaj chwilę, Deto, pójdziemy razem, jeżeli idziesz dalej w górę!

Zagadnięta przystanęła, a dziecko natychmiast puściło jej rękę i usiadło na ziemi.

– Czy zmęczyłaś się, Heidi? – zapytała dziewczyna towarzysząca dziecku

– Nie, jest mi tylko strasznie gorąco – odpowiedziała mała.

– Niedaleko już mamy do hali; musisz się jeszcze trochę wysilić i robić duże kroki, to w godzinę będziemy na górze – pocieszała ją Deto

Z drzwi domu wyszła korpulentna kobieta o dobrodusznym wyglądzie i przyłączyła się do nich. – Dziecko podniosło się i wędrowało z dwiema dobrymi znajomymi, które natychmiast wdały się w pogawędkę o wszystkich mieszkańcach wioski oraz okolicznych domków.

– A dokąd właściwie idziesz z tym dzieckiem, Deto? – zapytała nagle kobieta. – Czy to jest dziecko twojej zmarłej siostry?

– Tak – odpowiedziała Deto – prowadzę ją do Halnego Stryjka i tam ją zostawię.

– Co, chcesz ją zostawić u Halnego Stryjka? Czy jesteś przy zdrowych zmysłach, Deto? Jak możesz tak postąpić! Ale stary na pewno się na to nie zgodzi i odeśle cię z powrotem razem z małą

– Tego nie może uczynić. Jest przecież jej dziadkiem i musi coś dla niej zrobić. Trzymałam dziecko dotychczas, a teraz widzisz, Barbaro, trafia się doskonale miejsce, którego nie mam zamiaru stracić przez dziecko. Niech teraz dziadek się nią zaopiekuje.

– Tak, gdyby był taki jak wszyscy ludzie – powiedziała Barbara – ale znasz go przecież. Co pocnie z dzieckiem, w dodatku z takim małym! Ona nie wytrzyma u niego. A dokąd się wybierasz, Deto?

– Do Frankfurtu – odpowiedziała dziewczyna – dostaję tam wyjątkowo dobrą służbę. Ci państwo byli już tu zeszłego lata na kąpielach. Mieli pokoje na moim korytarzu i obsługiwałam im. Już wtedy chcieli mnie ze sobą zabrać, ale nie mogłam się jeszcze zdecydować.

Teraz znowu przyjechali i chcą mnie zabrać, a ja tym razem pojedę, wierz mi, Barbaro.

– Nie chciałabym być na miejscu dziecka! – Powiedziała Barbara robiąc obronny ruch ręką. – Nikt nie ma pojęcia, co się tam dzieje u starego dziwaka na górze! Z nikim nie obcuje,

od wielu lat noga jego nie postała w kościele. Kiedy raz do roku schodzi z góry, wsparty na swym sękatym kijku, wszyscy unikają go ze strachu. Z tymi krzaczastymi brwiami i ogromną brodą wygląda niesamowicie, jak dziki. Lęk człowieka ogarnia, kiedy go spotyka sam na sam.

– Cóż z tego – powiedziała Deta. – Jest jednak jej dziadkiem i musi się o nią troszczyć. Na pewno nie skrzywdzi dziecka, a jeżeli, to on będzie za to odpowiedzialny, a nie ja.

– Chciałabym jednak wiedzieć – powiedziała Barbara – co też stary ma na sumieniu, że tak dziko spogląda na ludzi i samotnie żyje z dala od wszystkich. Różnie ludzie mówią, ale i ty chyba wiesz coś niecoś od siostry, prawda, Deta?

– Tak, prawda, ale nie chcę nic mówić, bo dałby mi stary, gdyby się o tym dowiedział.

Barbara już dawno chciała się czegoś dowiedzieć o Halnym Stryjku, dlaczego tak stroni od ludzi i żyje w osamotnieniu, a ludzie odzywają się o nim półgębkiem, jakby nie chcieli mówić źle jedynie z lęku przed nim. Nie rozumiała też, dlaczego nazywano go ogólnie Halnym Strykiem. Przecież nie mógł być stryjem wszystkich. Barbara także go nazywała jak i wszyscy Halnym Strykiem, bo jakżeby inaczej! Niedawno wyszła za mąż do tej wioski, przedtem mieszkała w dolinie Prättigau i dlatego nie była dobrze obeznana z wszystkimi sprawami wsi i okolic. Deta, jej znajoma, urodziła się tutaj, tu mieszkała wraz z matką. Dopiero kiedy jej matka zmarła przed rokiem, przyjęła Deta miejsce pokojówki w hotelu z Ragaz, gdzie nieźle zarabiała. Tego właśnie dnia przybyła w Ragaz wraz z dzieckiem.

Barbara postanowiła tym razem wykorzystać sposobność, ujęła więc Detę pod ramię i rzekła:

– Od ciebie można by się jednak dowiedzieć, co jest prawdą, a co kłamstwem w tym wszystkim co ludzie gadają. Chyba znasz dzieje starego. Powiedz mi coś niecoś o nim. Czy zawsze był takim dziwakiem i tak stronił od ludzi?

– Czy zawsze był taki, o tym nie mogę dokładnie powiedzieć. Mam teraz dwadzieścia lat, a on co najmniej z siedemdziesiąt, więc zrozumiałe, że nie mogę wiedzieć, jaki był za młodu. Ale gdybym była pewna, że to dalej nie pójdzie, to niejedno powiedziałabym. Matka moja pochodziła z Domleschgu i on też.

– Ach, coż ty sobie wyobrażasz, Deta? – odpowiedziała Barbara nieco obrażonym tonem.

– Nigdy nie byłam plotkarką i potrafię zachować tajemnicę. Możesz mówić bez obawy.

– Dobrze, powiem ci, ale pamiętaj, nie powtarzaj tego nikomu! – powiedziała Deta.

Najpierw jednak obejrzała się, czy mała nie jest za blisko, żeby nie słyszała tego, co chciała powiedzieć. Ale nie było jej wcale widać, najprawdopodobniej już dawno pozostała gdzieś w tyle, czego podczas rozmowy wcale nie zauważyły. Deta stanęła w miejscu i rozejrzała się wokoło. Ścieżka szła zygzakiem, lecz z miejsca, gdzie stały, było ją widać do samej niemal wsi. Nikogo na niej nie było.

– Widzę ją – zawołała nagle Barbara – o tam, dostrzegasz ją? – i wskazała palcem na boczną ścieżynę. – Wspina się pod górę z Pietrkiem–Kozłarzem i jego kozami. Dlaczego on tak późno idzie dziś na górę? Ale dobrze się składa, bo mała jest pod jego opieką, a my możemy tymczasem spokojnie porozmawiać.

– Piotruś nie będzie miał z nią dużo kłopotu! – powiedziała Deta. – Mała jest, jak na swój wiek, bardzo sprytna, dawno już to spostrzegłam. Da sobie radę w życiu, co jest bardzo ważne, bo stary ma tylko dwie kozy i liche szalas halny.

– Czy zawsze był taki biedny? – zapytała Barbara.

– On? O, z pewnością miał znacznie więcej! – powiedziała Deta z zapalem. – Kiedyś miał jedno z największych gospodarstw w Domleschgu. Miał młodszego brata, człowieka spokojnego i porządnego. Sam zaś nic nie robił, bawił się w pana, jeździł po całym kraju i zadawał się z podejrzanymi ludźmi, których nikt nie znał. Toteż niebawem przepuścił całe gospodarstwo. Po stracie wszystkiego rodzice jego wkrótce zmarli ze zmartwienia, a brat, doprowadzony do skrajnej nędzy, ruszył w świat. Stryjek, któremu nic więcej nie zostało, prócz złej opinii, zniknął także. Na początku nie wiedziano, gdzie się podział, potem doszły

wieści, jakoby służył w wojsku w Neapolu, potem znowu minęło kilkanaście lat bez wieści o nim. Nagle zjawiał się któregoś dnia w Domleschgu z dużym już chłopcem i chciał go ulokować u któregoś z krewnych. Ale nikt nie chciał nawet z nim rozmawiać. Wtedy zły, poprzysiągł nigdy nie wrócić do Domleschgu. Zamieszkał we wsi ze swym chłopakiem. Żonę, która podobno pochodziła z Bindem, rychło utracił. Musiał jednak mieć jeszcze trochę pieniędzy, gdyż syna wykształcił na cieślę. Tobiasz był porządnym chłopcem, lubianym przez wszystkich we wsi. Do starego natomiast nie miano zaufania. Mówiono, że uciekł z wojska przed karą za zabójstwo człowieka, oczywiście nie na wojnie. Myśmy jednak nie wyparli się pokrewieństwa z nim, gdyż jego babka i babka mojej matki były rodzonymi siostrami. Nazywaliśmy go stryjkiem, a odkąd zamieszkał na hali, nazywa się Halny Stryjek.

– A co się stało z Tobiaszem? – przerwała zaciekawiona Barbara.

– Czekaj, zaraz się dowiesz, nie mogę przecież powiedzieć ci wszystkiego naraz. Tobiasz uczył się rzemiosła w Mels. Potem, kiedy skończył naukę, wrócił do wsi i ożenił się z moją siostrą Adelajdą, gdyż od dawna się kochali. Kiedy się pobrali, żyli ze sobą bardzo dobrze. Ale niedługo trwało ich szczęście, już w dwa lata potem Tobiasz zginął przy budowie jakiegoś domu; zabiła go spadająca belka. Adelajda z rozpaczy rozchorowała się i umarła. Ludzie długo i różnie gadali o tragicznym końcu tej pary. Winę przypisywali staremu mówiąc, że tych dwoje oddało w ofierze życia za jego grzechy. Powiedziano mu to nawet otwarcie, a pastor przemawiał do jego sumienia, namawiając go do skruchy i pokuty. On jednak stał się jeszcze bardziej ponury i zatwardziały w swym grzesznym uporze. Wszyscy go też unikali. Pewnego dnia wyniósł się w góry, na hale, gdzie żyje dotychczas, nie schodząc prawie do ludzi. Dziecko Adelajdy wzięliśmy z matką do siebie, miało wtedy rok. Kiedy zeszłego lata umarła moja matka, a ja chciałam nieco zarobić w zakładzie kąpielowym, musiałam umieścić dziecko u starej Urszuli w Pfäfersdorfie. Ponieważ umiałam szyć i w ogóle nie leniwiłam się w pracy, więc zatrzymali mnie w zakładzie i przez zimę, a wczesną wiosną przyjechali ci państwo z Frankfurtu nad Menem, którym obsługiwałam zeszłego lata, i chcą mnie zabrać ze sobą. Pojutrze wyjeżdżamy. Jestem pewna, że będzie mi tam dobrze.

– I staremu chcesz zostawić dziecko? Dziwię się, Deto – powiedziała Barbara z wyrzutem.

– No a co? – odpowiedziała Deta. – Dostyc się nakłopotalam o dziecko, nie mogę przecież zabierać ze sobą do Frankfurtu pięcioletniej dziewczynki. Ale dokąd ty właściwie idziesz, Barbaro, jesteście już w połowie drogi do hali!

– Właśnie już mam niedaleko – odpowiedziała Barbara. – Idę do matki Piotrusia, chcę z nią pogadać, ona przedzie dla mnie zimą len. Bądź zdrowa, Deto. Życzę ci szczęścia na nowym miejscu.

Deta podała rękę odchodzącej i zatrzymała się patrząc, jak zmierza do małej, brunatnej chatki, stojącej opodal w kotlinie osłoniętej od wiatru. Zagłębienie skalne chroniło jako tako słabą budowlę. Nie bardzo było bezpiecznie mieszkać w tej na wpół rozwalonej chacie, a gdyby stała wyżej, silnie wiejący wiatr halny, pod którego naporem trzeszczały ściany i drżały szyby w oknach, zmiotłby ją na pewno w dolinę.

W chacie tej mieszkał Piotruś–Kozłarczyk, jedenastoletni chłopiec, który schodził każdego ranka do wsi po kozy, potem wiódł je na hale, gdzie skubały krótką, soczystą trawę. Pod wieczór chłopiec zbiegał ze swą chyzą trzódką z powrotem do wsi, tam wydawał, kładąc palce do ust, przeraźliwy gwizd i właściciele kóz schodzili się, by je zabrać. Przeważnie rodzice posyłali po nie małych chłopców i dziewczynki, gdyż kózki były łagodne, i jedynie podczas tych krótkich chwil Piotruś obcował z rówieśnikami. W ciągu całego dnia miał tylko kozy za towarzyszy. Wprawdzie w domu była jeszcze babka i matka, ale ponieważ wychodził bardzo wcześnie, a wieczorem wracał późno ze wsi, gdyż chciał jak najdłużej pozostawać z dziećmi, więc przebywał w domu tyle tylko, ile trzeba było z rana, żeby wypić mleko i zjeść kawałek chleba, a wieczorem po takim samym posiłku przyłożyć głowę do poduszki i zasnąć jak kamień. Ojciec jego, którego także zwano Piotrem–Kozłarzem, bo za młodu również pasał

kozy, zginął przed paru laty przy ścinaniu drzewa. Matka wprawdzie nazywała się Brygida, ale wszyscy zwali ją, widać dla porządku Piotrową-Koźlarką, a starą babkę od najdawniejszych lat nazywali po prostu „babką”.

Deta czekała z jakie dziesięć minut rozglądając się wokoło, a nie mogąc dojrzeć dzieci, weszła nieco wyżej, skąd widziała całą halę i zbocza, aż do samej wsi. Rozglądała się długo, niecierpliwiąc się bardzo. Dzieci zaś wspinały się drogą okrężną, gdyż Piotruś wyszukiwał znajome miejsca z lepszym pożywieniem dla kóz. Z początku dziewczynka wspinała się za swym towarzyszem sapiąc i dysząc, gdyż męczyła ją ciężka odzież. Nie odzywała się wcale, tylko przyglądała się Piotrusiowi, jak boso, w lekkich spodenkach bez najmniejszego trudu skakał to wzwyż, to w bok, patrzyła też na kozy, które na cienkich nóżkach z łatwością przeskakiwały skalne głazy i rozpadliny. Nagle Heidi usiadła, zdjęła trzewiczki i pończochy, zrzuciła ciężką chustkę, następnie jedną sukienkę, potem drugą, gdyż Deta włożyła jej wszystko, co dziewczynka posiadała, żeby nie dźwigać tobołka, aż została w lekkiej bluzeczce. Z uczuciem ulgi wyciągnęła przed siebie gołe ramiona, okryte tylko krótkimi rękawami koszulki. Złożyła całą odzież na gromadkę i w podskokach pobiegła za stadkiem i Piotrusiem. Piotruś nie zwrócił uwagi na to, co robiła dziewczynka, gdy zatrzymała się w tyle. Ujrzawszy ją w zmienionym stroju uśmiechnął się, a kiedy obejrzawszy się, zobaczył z dala stos odzieży, usta jego rozciągnęły się w serdecznym uśmiechu od ucha do ucha. Nic jednak nie powiedział. Teraz dziewczynka lekka i swobodna wszczęła z Piotrusiem rozmowę i chłopiec musiał jej odpowiedzieć na wiele pytań. Heidi była ciekawa, ile kóz miał pod swoją opieką, dokąd z nimi chodził i co tam z nimi robił. Wreszcie oboje przywędrowali do chaty, gdzie już czekała na nich ciotka, która ujrzawszy Heidi, zawołała głośno:

– Heidi, jak ty wyglądasz? Gdzie podziałas jedną i drugą sukienkę? A chustka, a nowe buciki, które ci specjalnie kupiłam w góry, i pończochy, które sama zrobiłam, wszystko stracone! Heidi, co ty zrobiła, gdzie się wszystko podziało?

Dziewczynka spokojnie pokazała zbocze góry i odpowiedziała:

– Tam!

Ciotka spojrzała. Rzeczywiście, coś tam widać było z daleka z czymś czerwonym na wierzchu, zapewne była to chustka.

– Ty głuptasie – wybuchnęła rozgniewana ciotka. – Co ci strzeliło do głowy, dlaczego zdjęłaś wszystko? Co to ma znaczyć?

– Bo jest mi to niepotrzebne – odpowiedziała dziewczynka spokojnie, nie okazując najmniejszej skruchy.

– Ach, ty głupia, nieźnośna Heidi! – skrzyczała ją ciotka – kto teraz wróci po to? Potrwa to z pół godziny! Piotrusiu, proszę cię, pobiegnij po rzeczy i wracaj prędko. Stoisz i gapisz się, jakbyś w ziemię wrósł.

– Ja i tak wracam dziś późno – powiedział Piotruś z wolna i nie ruszył się z miejsca, przysłuchując się z rękoma w kieszeniach gniewnym okrzykom ciotki.

–Stojąc tak w miejscu i gapiąc się, spóźnisz się tym bardziej. Chodź no tutaj! Dam ci coś ładnego! Spójrz.

Pokazała mu nowego piątaka, to go olśniło. Nagle bez słowa skoczył z miejsca i pobiegł w ogromnych susach na dół. Rychło dopadł odzieży, zwinął ją w tobołek, chwycił pod pachę i tak szybko powrócił, że ciotka musiała go pochwalić i dała mu przybiecane pięć rappów. Piotruś, uradowany, wsunął pieniądz głęboko w kieszeń.

– Odnies mi to jeszcze do stryja. Idziesz przecież także w tamtą stronę – powiedziała ciotka Deta i zaczęła się wspinać po stromej ścieżce, która ciągnęła się tuż za chatą Koźlarzy.

Chłopiec zgodził się chętnie i poszedł za ciotką trzymając w jednej ręce tobołek, a w drugiej bat pasterski. Heidi i kózki wesoło skakały wokoło niego. Po jakich trzech kwadransach dotarła cała gromadka do hali, gdzie stała chata Halnego Stryjka, zbudowana na

krawędzi skały, wystawiona na wszystkie wiatry, ale też dostępna każdemu promieniowi słońca. Cudny był stąd widok na dolinę.

Od strony doliny stała mocno przymocowana do ściany ławka. Siedział na niej Stryjek z fajką w ustach, z rękoma opartymi na kolanach i spokojnie przyglądał się, jak dzieci, kozy i Deta wspinały się ku niemu. Heidi była pierwsza na górze. Śmiało podeszła do starca, wyciągnęła do niego rękę i powiedziała:

– Dobry wieczór, dziadku!

– No, a to co znowu? – zapytał starzec szorstko i zaczął bacznie przyglądać się dziewczynce spod krzaczastych brwi.

Heidi wytrzymała to badawcze spojrzenie bez mrugnięcia powiek. Stary dziadek z długą rozwichrzoną brodą i gęstymi, zrosniętymi nad nosem brwiami interesował ją bardzo i przykuwał wzrok do siebie. Tymczasem nadeszła ciotka i Pietrek, który przystanął z boku i przyglądał się temu, co się dzieje.

– Dzień dobry strytku – powiedziała, zbliżając się, Deta – przyprowadziłam wam dziecko Tobiasza i Adelajdy. Nie poznajecie jej zapewne, gdyż widzieliście ją po raz ostatni, gdy miała zaledwie rok.

– Tak, a po coś ją tu przyprowadziła, co ma tu do roboty? – zapytał stary. – A ty tam – zawołał zwracając się do chłopca – możesz już iść ze swoimi kozami, nie przychodzisz dziś za wcześnie! Zabierz też moje!

Piotruś usłuchał natychmiast i zniknął, bowiem starzec tak spojrzał na niego, że to wystarczyło.

– Ona musi u was zostać, strytku – odpowiedziała Deta na pytanie starego. – Ja zrobiłam swoje, zajmując się dzieckiem przez całe cztery lata, na was kolej, żebyście się nią zaopiekowali.

– Tak – powiedział stary i rzucił na Detę błyskawiczne spojrzenie. – A kiedy mała zacznie za tobą tęsknić, płakać za tobą, jak to zwykle czynią takie stworzenia, co ja z nią wtedy pocznę?

– To już wasza rzecz – powiedziała Deta. – Mnie też nikt nie radził, kiedy zostałam z rocznym dzieckiem na ręce, a przy tym musiałam zarabiać na siebie i na matkę. Teraz muszę wyjechać za pracę, a wy jesteście jedynym krewnym tego dziecka. Jeżeli nie chcecie go mieć u siebie, to róbcie z nim, co wam się podoba. Wy będziecie odpowiedzialni, jeżeli dziecko zmarnieje. Sądzę jednak, że nie powinniście więcej obciążać swego sumienia.

Deta czuła, że nie postępuje słusznie i zdenerwowana, powiedziała mimo woli więcej niż miała zamiar. Przy jej ostatnich słowach Halny Stryjek podniósł się z ławki i zmierzył ją takim wzrokiem, że dziewczyna cofnęła się o kilka kroków. Potem starzec wyciągnął rękę i rzekł rozkazująco:

– Wracaj natychmiast tam, skąd przyszedłeś i nie pokazuj się tu więcej!

Deta nie czekała, aż jej to powtórzy po raz drugi.

– Bądźcie zdrowi i ty też, Heidi – powiedziała i zbiegła szybko z góry pędząc tak, jakby ją ktoś gnał, aż do samej wsi.

Teraz ludzie z wioski jeszcze więcej nagabywali Detę. Chcieli wiedzieć, gdzie podziła dziecko. – Wszyscy znali Detę i wiedzieli, czyje to dziecko i jakie były koleje życia małej Heidi. Kiedy teraz ze wszystkich drzwi i okien rozległo się: – Gdzie jest dziecko? Deto, gdzie zostawiłaś dziecko? – chcąc nie chcąc odpowiadała.

– Na górze u Halnego Stryjka! No, tak, u Halnego Stryjka, przecież słyszycie!

Ale przykro jej było, bo ze wszystkich stron kobiety wołały:

– Jak mogłaś tak postąpić!

Albo:

– Biedactwo, takie bezbronne dziecko pozostawione tam w pustkowiu!

I ciągle na nowo:

– Biedne, biedne dziecko!

Deta biegła coraz szybciej i szybciej i odetchnęła dopiero wtedy, gdy już nie dobiegały ją żadne głosy. Dręczyło ją sumienie, gdyż matka umierając pozostawiła dziecko na jej opiece. Na usprawiedliwienie mówiła sobie w duchu, że przecież łatwiej jej będzie pomóc dziecku, kiedy zarobi dużo pieniędzy. Cieszyła ją też myśl, że nareszcie pozbędzie się swoich znajomych, którzy się do wszystkiego wtrącali, i że dostała taką dobrą służbę.

ROZDZIAŁ II

U DZIADKA

Po odejściu Dety, dziadek usiadł z powrotem na ławce, wydychając z fajki ogromne kłęby dymu, przy czym uporczywie patrzył w ziemię i nie odzywał się wcale. Tymczasem Heidi rozglądała się wokoło. Zobaczyła obórkę dla kóz przybudowaną do chaty i zajrzała do środka. Była pusta. Potem poszła do trzech starych jodeł, rosnących za domem. Szczyty drzew, poruszane wiatrem, szumiały głośno. Heidi przystanęła i wróciła do dziadka. Widząc go siedzącego w tej samej pozycji co przedtem, stanęła, założyła w tył ręce i zaczęła mu się przyglądać. Dziadek spojrzał na nią.

- No, i co będziesz teraz robić? – zapytał dziewczynkę.
- Chcę zobaczyć, co masz tam w środku w chacie – powiedziała Heidi.
- Więc chodź! – rzekł dziadek, wstając i kierując się do chaty.
- Zabierz swój tobolek z rzeczami – rozkazał, stojąc w progu.
- Nie są mi już potrzebne! – powiedziała Heidi.

Starzec odwrócił się i spojrzał badawczo na dziewczynkę, której czarne oczy skrzyły się z ciekawości, co tam może się znajdować w chacie.

– Niegłupie widać dziecko – szepnął do siebie. – Dlaczego nie są ci potrzebne? – dodał głośno.

– Bo najchętniej chciałabym biegać jak te kózki na bosych nóżkach.

– Biegać możesz jak chcesz, ale zabierz rzeczy, włożymy je do skrzyni – powiedział dziadek.

Heidi usłuchała rozkazu. Starzec otworzył drzwi i Heidi weszła z nim do chaty. Znaleźli się w dużej izbie, jedynej w całej chacie. Stał w niej stół i krzesło. W jednym kącie znajdowało się legowisko dziadka, w drugim było palenisko, a nad nim duży kocioł. Po drugiej stronie widać było wielkie drzwi w ścianie. Dziadek otworzył te drzwi, była to szafa. Wisiała w niej odzież dziadka, a na jednej z półek leżało kilka koszul, chusteczki i skarpetki. Na drugiej półce stało kilka talerzy, filiżanek i szklanek, a na najwyższej leżał okrągły bochenek chleba, kawałek wędzonego mięsa i sera. W tej szafie znajdowało się wszystko, co Halny Stryjek posiadał. Heidi, widząc otwartą szafę podeszła i wrzuciła do niej swoje rzeczy głęboko, żeby ich nie można było tak łatwo znaleźć. Potem rozejrzała się bacznie po izbie i zapytała:

- A gdzie będę spać, dziadku?
- Gdzie chcesz! – odpowiedział starzec.

Ta odpowiedź spodobała się Heidi. Zaraz obiegła wszystkie kąty, szukając sobie wygodnego miejsca do spania. Nad legowiskiem dziadka ujrzała w powale otwór, do którego prowadziła mała drabinka. Heidi weszła po niej na strych. Leżało tam świeże, pachnące siano, a przez okrągły otwór widać było góry i całą dolinę.

Tu chcę, spać, dziadku – zawołała Heidi – tu jest pięknie! Chodź na górę i zobacz, jak jest pięknie!

– Wiem o tym – rozległo się z dołu.

– Zrobię sobie zaraz poślanie! – zawołała dziewczynka i zabrała się do roboty. – Musisz mi dać jakieś prześcieradło, bo nie można leżeć na samym sianie.

– Tak, tak – powiedział na dole dziadek. Podeszedł do szafy i poszperawszy w niej nieco, wyciągnął spod koszul grubą płachtę płócienną, która doskonale mogła zastąpić prześcieradło. Wszedł z nią po drabinie. Zobaczył zręcznie zrobione poślanie. Tam, gdzie

miała leżeć głowa, siano było ułożone wyżej w ten sposób, że twarz była zwrócona w stronę okrągłego otworu.

– Dobrze się urządziłaś – stwierdził dziadek. Teraz połóżmy prześcieradło, ale poczekaj jeszcze – dodał i wzięwszy ze stosu dużą garść siana dołożył do posłania, żeby dziecku nie było twardo. – Tak, teraz daj to!

Heidi wzięła do ręki płótno, ale ledwo je mogła unieść, takie było ciężkie. Było jednak dobre, bo przez tak grubą tkaninę nie mogły się przedostać kłujące żdzbla siana. Wreszcie posłanie wyglądało czysto i porządnie. Heidi stanęła przed nim, przyglądając mu się w zamyśleniu.

– Zapomnieliśmy jeszcze o jednym, dziadku – powiedziała Heidi.

– O czym to? – zapytał dziadek.

– O kołdrze, bo jak się kładzie do łóżka, to trzeba się wsunąć między kołdrę i prześcieradło.

– Hm, tak sądzisz? A jeżeli nie mam kołdry?

– O, to nic nie szkodzi, dziadku – uspokoiła go Heidi. – W takim razie bierze się siano do przykrycia. – Sięgnęła do sterty siana, ale dziadek powstrzymał ją.

– Zaczekaj chwileczkę – powiedział. Zszedł po drabinie i zdjął ze swego łóżka ciężką kapę płócienną, potem wrócił na górę.

– No, czy to nie lepsze niż siano? – zapytał.

Heidi z całych sił ciągnęła za końce ciężkie płótno, chcąc je równo ułożyć na posłaniu, ale małe jej dłonie nie mogły sobie poradzić. Dziadek pomógł jej i wreszcie łóżko wyglądało zupełnie przyzwoicie, a Heidi przyglądała mu się z zadowoleniem.

– To jest wspaniała kołdra – powiedziała – i całe posłanie jest świetne! Chciałabym, żeby już była noc, to położyła bym się.

– Sądzę, że powinniśmy najpierw coś zjeść – rzekł dziadek – a jak ty myślisz?

Heidi w zapale pracy zapomniała o wszystkim, ale na wspomnienie jedzenia uczuła okropny głód. Prócz rannego posiłku, który składał się z kromki chleba i filiżanki kawy, nic w ciągu całego dnia nie jadła. Przytaknęła więc:

– Tak, ja też tak sądzę.

– Chodźmy więc – powiedział stary, schodząc po drabinie.

Podszedł do paleniska, zdjął duży kocioł i zawiesił mały. Usiadł na zydelku przy ogniu i zaczął dmuchać tak długo, aż wywołał jasny płomień. W kociołku zaczęło coś syczeć, a dziadek wzięwszy duży kawałek sera zatknął go na żelazny widelec i obracał nad ogniem, aż zrumienił się ze wszystkich stron. Heidi przyglądała się temu z największą uwagą.

Nagle zarwała się i podbiegła do szafy. Otworzyła ją i zaczęła się krzątać, biegając od szaf do stołu i z powrotem. Kiedy dziadek podszedł z kociołkiem w jednej ręce i widelcem z zatkniętym na nim serem w drugiej, stół był już nakryty. Stały na nim dwa talerze, a obok nich leżały dwa noże i okrągły bochenek chleba.

– To dobrze, żeś sama o tym pomyślała – powiedział dziadek – ale jeszcze czegoś tu brak. Heidi spojrzała na parę, unoszącą się z kociołka, i domyśliła się, o co chodzi. Szybko podbiegła do szafy, ale znalazła tylko jedną miseczkę. Heidi stała przez chwilę zakłopotana. W głębi szafy ujrzała dwie szklanki, chwyciła jedną z nich i wróciła do stołu.

– Umiesz sobie radzić – ocenił dziadek. – A gdzie będziesz siedziała?

Na jednym stołku siedział starzec. Heidi podbiegła do ogniska, przyniosła zydel i usiadła.

– Tak, teraz siedzisz, tylko nieco za nisko. Co prawda z małego stołka także byś nie dosięgła do stołu. Ale i na to znajdzie się rada.

Wstał, nalał z kociołka mleka do miseczki, postawił na swoim stołku, który przysunął do siedzącej na zydelku Heidi tak, że dziewczynka miała teraz swój własny stół. Obok miseczki dziadek położył duży kawał chleba i złocistego sera, mówiąc:

– Teraz jedz!

Sam usiadł na skraju stołu i jadł swój posiłek. Heidi wzięła miseczkę do rąk i zaczęła z niej pić łapczywie, gdyż dopiero teraz poczuła pragnienie. Po chwili odetchnęła głęboko i postawiła miseczkę na stole.

– Smakuje ci mleko? – zapytał dziadek.

– Nigdy jeszcze nie piłam tak dobrego mleka – powiedziała Heidi.

– Dam ci jeszcze – rzekł dziadek. Napełnił miseczkę i postawił ją przed dziewczynką, która tymczasem zjadała chleb, posmarowany pieczonym serem jak masłem.

Spokojnie popijała mleko i miała bardzo zadowoloną minę. Bardzo jej wszystko smakowało.

Po jedzeniu dziadek poszedł do obórki, by ją uporządkować. Heidi przyglądała się z zainteresowaniem, jak dziadek zamiatał, a potem rozrzucał świeżą słomę, by kózkom spało się dobrze. Następnie skierował się ku zaroślom, wyciął tam kilka mocnych kijów, wziął sporą deskę, wywiercił w niej cztery dziury, majstrował przy niej jakiś czas, klepał, kuł, wbijał gwoździe i nagle z tego wszystkiego wyszedł stół, taki sam jak dziadka, tylko znacznie wyższy.

– Co to jest, Heidi? – zapytał dziadek.

– To jest stół dla mnie, bo taki jest wysoki. Jak prędko go zrobiłeś! – powiedziała Heidi z podziwem.

– Zdaje sobie sprawę ze wszystkiego, co widzi – mruczał starzec chodząc wokoło chaty, gdzieśgdzie wbijając gwoźdź, to znów poprawiając coś koło drzwi. Heidi chodziła krok w krok za nim i przyglądała się wszystkiemu z ogromnym zainteresowaniem.

Tak im zeszedł czas do wieczora. Stare jodły zaszumiały głośniejsze, gdyż silny wiatr wstrząsnął ich gęstymi konarami. Heidi słuchała tego szumu z radością i z zachwytem zaczęła skakać wokoło drzew, a dziadek patrzył na nią stojąc przed drzwiami obórki. Nagle rozległ się przeraźliwy gwizd. Heidi stanęła jak wryta, dziadek wyjrzał w stronę gór. Wąską ścieżyną górską biegło w podskokach stado kóz, a pośrodku nich Piotruś. Heidi krzyknęła radośnie i rzuciła się między kozy, witając każdą z osobna. Przed chatą zatrzymały się wszystkie i ze stada wyszły dwie śliczne kózki, biała i brązowa. Podeszły do dziadka i zaczęły mu lizać ręce, w których jak każdego dnia miał sól. W ten sposób zawsze witał swoje zwierzątka. Piotruś pognął dalej stado kóz. Heidi głaskała czule dwie kózki.

– Czy te kózki są naprawdę nasze, dziadku? Obydwie są nasze? Czy pójdą do obórki? Czy zawsze będą z nami? – Heidi pytała raz po raz, a dziadek ledwo mógł nadążyć wturcić swoje: – Tak, tak.

Kiedy kozy zlizywały już sól powiedział:

– Przynieś teraz swoją miseczkę i chleb.

Heidi pobiegła i zaraz wróciła. Dziadek udoił od białej kózki pełną miseczkę mleka i powiedział:

– Zjedz to, potem idź na strych i połóż się spać! Ja muszę jeszcze zająć się kozami, więc dobranoc!

– Dobranoc, dziadku! Dobranoc! A jak one się nazywają, dziadku, jak się nazywają? – woła dziewczynka, biegnąc za starcem i kozami.

– Biała nazywa się Białaska, a brunatna Buraska! – odpowiedział dziadek.

– Dobranoc, Białasko! Dobranoc, Burasko! – zawołała Heidi z całej siły, gdyż kozy zniknęły już w obórce. Potem usiadła na ławce i zaczęła zjadać swój chleb popijając mlekiem. Zaczął dąć tak silny wiatr, że o mało jej nie zdmuchnął z ławki. Pośpieszyła się z jedzeniem, potem weszła do chaty, położyła się i natychmiast zasnęła tak smacznym snem, jak gdyby leżała w najwspanialszym łóżku.

Niedługo potem, zanim się jeszcze zupełnie ściemniło, położył się także dziadek. Wstawał o wschodzie słońca, a w górach słońce wschodzi latem bardzo wcześnie. W nocy wicher tak

się wzmógł, że cały dom drgał, trzeszczały belki, w kominie gwizdało i jęczało, a z drzew z trzaskiem odpadały suche gałęzie.

Dziadek wstał i mruknął do siebie:

– Mała zapewne się lęka.

Wszedł po drabinie i zbliżył się do śpiącej Heidi. Mknące po niebie chmury to przesłaniały, to znów odsłaniały księżyc. W tej chwili właśnie promienie księżyca padły poprzez okrągły otwór prosto na śpiącą dziewczynkę. Leżała mocno zarumieniona pod ciężką kołdrą, główkę ułożyła wygodnie na okrągłym ramieniu i uśmiechnęła się przez sen, śniąc coś bardzo miłego. Dziadek tak długo spoglądał na spokojnie śpiącą dziewczynkę, aż znowu się ściemniło, potem zszedł z powrotem i położył się na swoim pościeli.

ROZDZIAŁ III

NA PASTWISKU

Wczesnym rankiem zbudził Heidi głośny gwizd. Otworzyła oczy i ujrzała promienie słoneczne, które padały poprzez okrągły otwór na posłanie. Przez chwilę rozglądała się zdumiona, gdyż nie pamiętała, gdzie się znajduje. Dopiero głos dziadka, rozlegający się na dworze, przypomniał jej, skąd się tu wzięła i że jest u dziadka na hali, a nie u starej Urszuli. Urszula była zupełnie głucha i wiecznie marzła, dlatego wciąż przesiadywała w chałupie przy palenisku. Heidi nie wolno było wychodzić na dwór. Stara Urszula chciała ją zawsze mieć przy sobie, żeby ją widzieć, bo nie mogła jej słyszeć. Smutno było Heidi, bo jakże rada by była wybiec na dwór.

Ucieszyła się więc bardzo, kiedy sobie przypomniła, gdzie jest i ile widziała wczoraj nowego, i co jeszcze dziś zobaczy, a przede wszystkim Białaskę i Buraskę. Heidi wyskoczyła z łóżka i w kilka minut ubrała się w to, co nosiła wczoraj, a było tego niewiele. Potem zeszła po drabinie i wybiegła przed dom. Zobaczyła Piotrusia-Koźlarza z jego stadem. Przyszedł po kozy dziadka, który właśnie wyprowadzał je z obórki. Heidi podbiegła do dziadka, by jemu i kózkom powiedzieć dzień dobry.

– Może chcesz także pójść na pastwisko? – zapytał dziadek.

Heidi uszczęśliwiona, aż podskoczyła z radości.

– Najpierw musisz się czyściutko umyć, bo słonko cię wyśmiej, kiedy zobaczy twoją czarną buzię! Tam masz wszystko przygotowane.

Wskazał na duży ceber, pełen wody, stojący przed drzwiami w słońcu. Heidi pobiegła i umyła się starannie. Tymczasem dziadek wszedł do chaty, wołając do Pietrka

– Chodź no tu, kozi generale, ze swoim plecakiem!

Zdumiony bardzo chłopak usłuchał wezwania i podał plecak, w którym znajdował się jego skromny posiłek.

– Otwórz! – rozkazał dziadek i włożył do środka duży kawał chleba i sporo sera.

Pietrek otworzył szeroko oczy, gdyż przewyższało to dwukrotnie jego zapasy.

– Tak, a teraz jeszcze miseczka – powiedział stary. – Heidi nie umie pić tak jak ty prosto z kozy. Udoisz jej na obiad dwie miseczki mleka, bo mała pójdzie z tobą i zostanie aż do wieczora. Tylko uważaj dobrze, żeby nie spadła ze skał, słyszysz?

W tej chwili nadbiegła Heidi.

– A teraz, czy słonko wyśmiej mnie, dziadku? – zapytała z ożywieniem.

Tak mocno natarła grubym ręcznikiem, który dziadek położył koło cebra, twarz, szyję i ręce, że była czerwona jak rak. Dziadek spojrzał na nią i uśmiechnął się.

– Nie, teraz nie będzie się już miało z czego śmiać – powiedział. – Gdy wrócisz wieczorem, to cała musisz wejść do cebra jak ryba. A teraz możecie iść.

W wesołych podskokach ruszyli w górę. W nocy wiatr rozpędził wszystkie chmury i ciemnoszafirowe niebo rozpościerało się nad nimi z jasnym słońcem pośrodku. Złote promienie prześwietlały zielen łąk, a kwiaty rozchylały radośnie kielichy. Heidi biegła wokoło i wydawała okrzyki radości. Z zachwyty, widząc tyle pięknych kwiatów, czerwonych, żółtych i niebieskich, zapomniała nawet o Pietrku i kozach. Schylała się to tu, to tam, zrywając kwiatki i wkładała je do fartuszka. Chciała je potem włożyć do siana na strychu, aby wyglądało, jak łąka. Kozy, jakby naśladując Heidi, rozbiegły się na wszystkie strony i Piotruś musiał ciągle gwizdać i nawoływać, by je zgromadzić w stado.

– Gdzieżeś się znowu podziała Heidi? – krzyczał.

– Tutaj! – rozlegało się skądś.

Piotruś nie mógł jej dojrzeć, gdyż siedziała na ziemi, ukryta za małym pagórkiem porośniętym kwiatami. Powietrze było przepojone zapachami, Heidi wdychała je pełną piersią.

– Chodź tu w tej chwili! – wrzasnął znowu Piotruś. – Dziadek zabronił ci spadać ze skały, słyszysz?

– A gdzie są skały? Zapytała Heidi, nie ruszając się jednak z miejsca.

– Tam, wysoko, wysoko. Mamy jeszcze daleko, dlatego chodź już. A na samej górze siedzi stary drapieżny ptak i skrzeczy.

To poskutkowało. Heidi podskoczyła i przybiegła do chłopca z pełnym fartuszkiem kwiatków.

– Masz ich już dosyć – powiedział, kiedy znowu wspinali się razem pod górę. – Nie zrywaj więcej, bo ciągle zostajesz w tyle. Jak wszystkie dziś pozrywasz, to na jutro nic nie zostanie.

Ostatnie słowa przekonały dziewczynkę najskuteczniej. Zresztą miała już pełny fartuszek. Nie zatrzymując się, szła obok Piotrusia razem z kozami, które też szły w większym porządku, gdyż zwęszyły soczyste zioła pastwiska i wspinały się wytrwale. Wreszcie dotarli do obszernej łąki u podnóża stromych skał, które po jednej stronie opadały spadzistym zboczem. Dziadek słusznie ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Piotruś zdjął plecak i wsunął go w niewielkie zagłębienie, w obawie, by wiatr nie zdmuchnął w przepaść tych cennych skarbów. Potem rozciągnął się w słońcu na trawie, wypoczywając po uciążliwej drodze.

Tymczasem Heidi zdjęła fartuszek, starannie zwinęła go wraz z kwiatkami i położyła przy plecaku. Usiadła obok leżącego chłopca i zaczęła się oglądać wokoło. Niżej rozpościerała się dolina, cała skąpana w poświacie ranka. Przed dziewczynką rozciągało się szerokie pole śniegowe, po drugiej stronie potężna grupa skał, jakby uwieńczona stromymi ścieżkami. Wyglądało to tak uroczyście, że dziewczynka zamilkła i siedziała nieruchomo wśród ciszy. Wiatr delikatnie kołysał trawę i kwiatami. Zmęczony Piotruś zasnął, a kózki wspinały się po skałach skubiąc trawę. Heidi czuła się szczęśliwa, jak nigdy w życiu. Cieszyła się promieniami słońca, świeżym powietrzem, zapachem kwiatów i niczego więcej nie pragnęła, jak pozostać tu na zawsze. Mijał czas, a Heidi tak często i z taką uwagą przyglądała się skałom, iż w końcu zdawało jej się, że przybrały rysy twarzy ludzkich i spoglądały na nią, jak starzy przyjaciele.

Nagle usłyszała tuż nad sobą przenikliwy wrzask i skrzek. Kiedy uniosła głowę, zobaczyła olbrzymiego ptaka, jak zataczał kręgi rozpościerając szeroko skrzydła. Nie widziała jeszcze nigdy takiego ptaka.

– Piotrusiu! Piotrusiu! Obudź się! – zawołała głośno. – Spójrz, drapieżny ptak przyleciał, o, patrz, patrz!

Chłopiec zerwał się i razem z Heidi spoglądał za ptakiem, który wznosił się coraz wyżej, aż zniknął poza szarymi skałami.

– Dokąd on poleciał? – zapytała Heidi, która w skupieniu śledziła każdy ruch orła.

– Do domu, do swojego gniazda – odpowiedział Piotruś.

– To on mieszka tak wysoko? Ach, jak tam musi być pięknie! A dlaczego tak krzyczy? – pytała.

– Bo musi – powiedział Piotruś.

– Wejdźmy tam wysoko i obejrzymy jego gniazdo – zaproponowała Heidi.

– Ach, ach, ach! Tam nawet najzręczniejsza koza nie dostanie się, a zresztą dziadek zabronił ci spadać ze skał!

Nagle Piotruś przeraźliwie gwizdnął i krzyknął. Heidi nie mogła zrozumieć, co to znaczy. Ale kozy wiedziały doskonale i jedna za drugą zaczęły zeskakiwać ze skał. Wkrótce całe stado zebrało się na łące. Zwierzątka skakały wokoło, potrącały się i bodły w zabawie. To wszystko było dla Heidi czymś zupełnie nowym. W zachwycie biegała i skakała pomiędzy nimi, z każdą po kolei zawierając przyjaźń. Tymczasem Piotruś otworzył plecak i wyjął wszystkie zapasy, kładąc je równiutko na ziemi, duże porcje po stronie Heidi, a małe po

swojej, bo pamiętał, co do kogo należało. Wziął miseczkę, udoił z Białaski świeżego, smacznego mleka i postawił pełną miseczkę obok porcji Heidi. Potem zawołał dziewczynkę. Musiał jednak dłużej i głośniej krzyczeć niż na kozy, gdyż Heidi była tak rozbawiona, że nie widziała i nie słyszała, co się wokoło niej dzieje.

Ale Piotruś umiał sobie poradzić. Krzyczał tak głośno, że rozlegało się po górach szerokim echem. Wreszcie Heidi przysła, a widząc pięknie ułożone przysmaki, zaczęła skakać wokoło nich.

–Przestańże wreszcie skakać, teraz jest pora posiłku – powiedział Piotruś. – Siadaj i bierz się do jedzenia!

Heidi usiadła.

– Czy to mleko jest dla mnie? – zapytała przyglądając się z apetytem miseczce.

– Tak – odpowiedział Piotruś – i to, co leży po twojej stronie, jest też dla ciebie do zjedzenia. Kiedy wypijesz to mleko, to dostaniesz jeszcze od Białaski, a potem będzie moja kolej.

– A skąd weźmiesz mleko dla siebie? – zapytała Heidi.

– Z mojej kozy, burej. Zaczynij już wreszcie jeść.

Heidi sięgnęła po miseczkę, a kiedy wypila mleko, Piotruś wstał i napełnił ją znowu. Heidi ułamała spory kawał chleba i sera ze swojej porcji i podała chłopcu, który już prawie zjadł całe swoje śniadanie.

– Weź to, ja mam dosyć.

Piotruś spojrzał na dziewczynkę niewymownie zdumiony. Ociągał się przez chwilę, gdyż trudno mu było uwierzyć, że Heidi nie żartuje. Dziewczynka wciąż trzymała chleb z serem w wyciągniętej ręce, aż wreszcie, widząc, że chłopiec nie bierze, położyła mu go na kolanie. Teraz dopiero zrozumiał, że to nie żart, wziął więc chleb i najadł się tak, jak jeszcze nigdy.

Tymczasem Heidi wciąż nie odrywała wzroku od kóz.

– Jak one się nazywają, Piotrusiu?– zapytała.

Piotruś znał i pamiętał wszystkie imiona kóz, gdyż nic innego właściwie nie miał do zapamiętania. Wymienił je, wskazując palcem każdą z osobna. Heidi przysłuchiwała się z zainteresowaniem i niedługo nauczyła się sama je nazywać i odróżniać. Łatwo je było zapamiętać, bowiem każda miała jakieś szczególne cechy. Był więc wielki kozioł o mocnych rogach; ciągle bódł wokoło i wszystkie kozy bały się go i uciekały przed nim. Tylko mała, zwinna kózka Szczygiełka wcale się go nie bała, przeciwnie, sama go napadała tak szybko i dzielnie, że stary kozioł zupełnie głupiał ze zdziwienia i ustępował jej, widząc, jakiego ma dzielnego przeciwnika. Biała kózka, Śnieżulka, beczała tak często i żałośnie, że Heidi ciągle podbiegała do niej i pocieszając tuliła jej głowę do siebie. W tej chwili kózka znowu beknęła żałośnie. Heidi podbiegła do niej, objęła ją za szyję i spytała ze współczuciem:

– Co tobie, Śnieżulko? Dlaczego tak płaczesz?

Kózka z zaufaniem przytuliła się do dziewczynki i przestała beczeć. Piotruś zawołał ze swojego miejsca stłumionym głosem, gdyż jeszcze jadł i miał pełne usta:

– Ona płacze, bo stara już nie przychodzi z nią na hale. Sprzedali ją przedwczoraj do Mayenfeldu i Śnieżulce tęskno za nią.

– A któż to jest ta stara?– zapytała Heidi.

– No, jej matka – brzmiała odpowiedź.

– A gdzie jest jej babcia?– zawołała znów Heidi.

– Nie ma jej wcale.

– A dziadka?

– Też nie.

– Moja biedna Śnieżulka – powiedziała Heidi i przytuliła czule kózkę do siebie – Nie płacz już więcej tak żałośnie, będę teraz co dzień przychodziła z tobą. Jak ci czegoś trzeba, to przychodź tylko do mnie.

Śnieżulka z zadowoleniem ocierała łebek o ramię dziewczynki i nie beczała już wcale. Tymczasem Piotruś skończył się posilać i zbliżył się do swojej trzody i do Heidi.

Cała trzoda wzięła się znów do skubania krzaków i trawy. Każda koza czyniła to na swój sposób. Jedne skakały na przelaj, sadząc dużymi susami, inne znów szły powoli i rozważnie, jakby z namysłem, wybierając co najsmaczniejsze kąski. Kozioł jak zwykle zaczepiał wszystkie, ciągle napadając na nie. Białaska i Buraska najzręczniejsze ze wszystkich wspinały się po skałach, oskubując napotykaną po drodze krzaczki. Heidi założyła ręce na plecy i przyglądała się wszystkiemu bacznie i z zaciekawieniem.

– Piotrusiu!– Prawda, że Białaska i Buraska są najpiękniejszymi kózkami z całego stada.

– No, tak – odpowiedział chłopak – Halny Stryjek myje i czesze je, daje im sól do lizania i ma najlepszą obórkę.

Nagle Piotruś zerwał się i w wielkich susach co sił pobiegł za kozami, a tuż za nim Heidi. Musiało się coś ważnego przydarzyć, więc i ona nie może zostać na miejscu. Piotruś popędził w kierunku skalnego urwiska, za lekkomyślną kózką. Jeszcze kilka skoków i mogła spaść i zabić się. Była to nierozważna Szczygielka. Piotruś dogonił ją w ostatniej chwili, chciał chwycić za rogi, ale już nie zdążył. Przewrócił się i zdołał tylko chwycić kozę za nogę. Szczygielka, nie rozumiejąc niebezpieczeństwa, wrywała się, becząc z gniewu. Piotruś zaczął wzywać Heidi na pomoc, gdyż kózka szarpała się tak mocno, że ledwo ją mógł utrzymać. Dziewczynka, widząc grożące niebezpieczeństwo przybiegła i podsuwając kóźce garść wonnych ziół pod nos, zaczęła do niej przemawiać czule:

– Chodź, chodź, Szczygielko, bądźże rozsądniejsza! Spójrz, jaka tam straszna przepaść, gdy spadniesz, to złamiesz nóżkę, a to strasznie boli.

Kózka odwróciła się i zaczęła spokojnie wyjadać zioła z ręki Heidi. Tymczasem Piotruś wstał i chwycił kózkę za sznurek wokoło szyi, na którym miała zawieszony dzwonek. Heidi ujęła z drugiej strony za sznurek i tak razem zaprowadzili niesforną kózkę do spokojnie pasących się towarzyszek. Teraz Piotruś postanowił przykładnie ukarać Szczygielkę. Podniósł w górę bat, a kózka, widząc, co się święci, z lękiem uskokczyła w bok. Heidi zawołała głośno, stając w jej obronie:

– Nie, Piotrusiu, nie bij jej! Spójrz jak się boi.

– Zasłużyła na to – stwierdził chłopiec i chciał jednak uderzyć. Heidi chwyciła go za ramię krzycząc:

– Nie bij jej, to boli, puść ją!

Piotruś spojrzał zdziwiony na błagającą go dziewczynkę. Jej oczy błyszczały takim ogniem, że chłopiec mimo woli opuścił bat.

– Puszczę ją, jeżeli mi jutro też dasz swojego sera – powiedział Piotruś, ustępując.

– Dam ci cały ser, jutro i każdego dnia, ja go wcale nie chcę – obiecała Heidi. – Dam ci też chleba, dużo chleba, tak jak dzisiaj, ale za to masz nigdy nie bić Szczygielki, ani Śnieżki, ani w ogóle żadnej kozy.

– Wszystko mi jedno – powiedział Piotruś, a to znaczyło tyle, co przyrzeczenie. Puścił winowajczynię i Szczygielka pobiegła w podskokach do towarzyszek.

Tak minął dzień, niepostrzeżenie zaczęło zachodzić słońce, daleko, hen, za górami. Heidi siedziała znowu na ziemi, patrząc w milczeniu na kwiaty i zioła. Nagle zobaczyła, jak skały czerwieniały się i płoną. Zerwała się wołając:

– Piotrusiu! Piotrusiu! Pali się! Wszystkie góry płoną, i śnieg na szczytach, i niebo. Ach, spójrz! Ta wysoka skała cała stoi w płomieniach! Ach, jak pięknie wygląda śnieg, kiedy się pali! Piotrusiu, spójrz, jak wszystko płonie!

– Zawsze tak jest – powiedział Piotruś spokojnie i dalej majstrował coś koło swojego bata.

– To wcale nie jest ogień.

– A co to jest?– zawołała Heidi skacząc wokoło i rozglądając się bacznie.– Co to może być, Piotrusiu, co?– wołała wciąż Heidi.

– Nie wiadomo, samo się tak robi – wyjaśniał chłopiec.

– Ach, spójrz, spójrz – wołała Heidi – nagle zrobiły się purpurowe! Ten, śnieg i skały! Jak one się nazywają, Piotrusiu?

– Góry nie mają imion – odpowiedział chłopiec.

– Ach, jak pięknie, jaki piękny jest czerwony śnieg!– Ach, a szczyty skał, jakie są czerwone! Och, robią się szare! Wszystko gaśnie! O, już koniec, Piotrusiu!

I Heidi usiadła na ziemi z miną, jakby rzeczywiście wszystko się zapadło.

– Jutro znowu tak będzie – powiedział Piotruś.– Wstań, musimy już wracać do domu. Zawołał kozy i rozpoczęła się wędrówka z powrotem.

– To co dzień jest tak samo, każdego dnia?– pytała ciekawie Heidi, idąc obok Piotrusia w dół.

– Przeważnie – odpowiedział.

– Ale jutro na pewno?

– Tak, tak, jutro tak będzie!– zapewniał Piotruś.

Heidi, zadowolona szła w milczeniu, rozmyślając nad mnóstwem wrażeń, które tego dnia przeżyła. Tak doszli aż do chaty dziadka. Siedział pod jodłami na ławce i czekał na powracających. Heidi podbiegła doń, a z nią Białaska i Buraska. Piotruś zawołał:

– Jutro znowu pójdziemy razem! Dobranoc!

Widocznie bardzo mu zależało na tym, by Heidi była z nim na pastwisku.

Heidi podbiegła do chłopca i podała mu rękę z zapewnieniem, że jutro z nim pójdzie. Potem wcisnęła się do środka trzody, jeszcze raz objęła Śnieżulkę za szyję i rzekła:

– Dobranoc, Śnieżulko! Jutro znowu będziemy razem, nie musisz już tak żałośnie pobekiwać!

Śnieżulka popatrzyła przyjaźnie na dziewczynkę, potem wesoło podskoczyła i pobiegła za odchodzącym stadem.

Heidi wróciła pod jodły.

– Ach, dziadku, było tak pięknie!– wołała już z daleka.– Ogień na szczytach i czerwony śnieg, a ile kwiatków żółtych i niebieskich! Spójrz, co ci przyniosłam!

Mówiąc to, rozchyliła fartuszek i wysypała przed dziadkiem całą jego zawartość. Ach, co się stało z biednymi kwiatkami! Heidi nie poznała ich. Wyglądały jak siano i ani jeden kielich nie był świeży.

– Ach, dziadku, co się z nimi stało?– zawołała Heidi wystraszona.– Wyglądały zupełnie inaczej.

– Chcą być na powietrzu w słońcu, a nie w fartuchu – powiedział dziadek.

– To już nie będę ich więcej zrywać! Dziadku, dlaczego wielki ptak głośno skrzeczał? – spytała Heidi.

– Teraz idź się umyć, a ja pójde do obórki wydoić kozy. Spotkamy się w chacie przy kolacji, wtedy opowiem ci wszystko, co zechcesz.

Kiedy Heidi siedziała na swym wysokim stołku przed miseczką mleka, a obok niej dziadek, zapytała znowu:

– Dlaczego drapieżny ptak krzyczy tak głośno i skrzeczy przeraźliwie?

– Drwi i śmieje się w ten sposób z ludzi, że cisną się i tłoczą po wsiach, by kłócić się i swarzyć ze sobą. Mówi im, że gdyby tak jak on mieszkali samotnie na niedostępnych szczytach, czuliby się o wiele szczęśliwi.

Dziadek wypowiedział te słowa tak ostrym i ponurym głosem, że dziewczynce przypomniał się skrzek wielkiego ptaka.

– Dlaczego góry nie mają nazw, dziadku?– zapytała znów Heidi.

– Mają nazwy – odpowiedział dziadek – i jeżeli możesz mi opisać dokładnie wygląd któregoś z nich, to powiem, jak się nazywa.

Heidi opisała skałę o dwóch wysokich wieżach, dokładnie tak, jak ją widziała, a dziadek powiedział:

– Tak ta góra nazywa się Falknis. Jaką jeszcze widziałas?

Heidi opisała jeszcze górę pokrytą śniegiem, który o zachodzie słońca stał się czerwony jak ogień, a potem zszarzał i zbladł.

– Poznaję tę górę – rzekł dziadek – nazywa się Scesaplana. Podobało ci się na pastwisku?

Heidi zaczęła opowiadać z zapalem o wrażeniach z całego dnia, a szczególnie o ogniu, którym płonęły góry z wieczora. Chciała, żeby dziadek powiedział, jak się to dzieje, bo Piotruś nie mógł jej tego wytłumaczyć.

– Widzisz, to sprawia słońce – powiedział dziadek. – Kiedy żegna się z górami, na dobranoc rzuca im najpiękniejsze promienie, żeby nie zapomniały o nim aż do następnego dnia.

To wyjaśnienie podobało się ogromnie Heidi. Nie mogła się doczekać następnego dnia, by znowu pójść na pastwisko i zobaczyć, jak słońce żegna się z górami. Tymczasem musiała iść spać. Zasnęła też smacznie na swym legowisku z siana i śniła o płomiennych górach, o kwiatkach i wesoło skaczącej między nimi Śnieżulce.

ROZDZIAŁ IV

U BABKI

Następnego dnia znowu zaświeciło słońce. Przyszedł Piotruś z kozami i znów razem wybrali się na pastwisko. Tak schodził dzień za dniem i Heidi zbrązowiała zupełnie na słońcu, stała się silna i zdrowa. Żyła szczęśliwa i wesoła, jak ptak na swobodzie. Kiedy przyszła jesień i po górach zaczął hulać silny wiatr, dziadek powiedział pewnego dnia:

– Zostaniesz dziś w domu, Heidi, takie maleństwo jak ty może wiatr zdmuchnąć ze skały w przepaść.

Gdy Piotruś usłyszał to, wpadł w rozpacz. Nagle uświadomił sobie, jak strasznie smutno i nudno będzie bez Heidi na pastwisku. Przypomnił sobie także obfity obiad, który dzięki niej jadł teraz co dnia. Przy tym kozy, nawykłe do obecności dziewczynki, nie słuchały go już i rozbiegały się na wszystkie strony. Heidi jednak nie była nieszczęśliwa. Zawsze znajdowała coś ciekawego w pobliżu. Naturalnie, że lubiła bardzo chodzić z kozami na pastwisko do kwiatów i do wielkiego ptaka, ale ciekawiła ją także robota dziadka, który ciągle coś stukał, strugał, przybijał. Najwięcej podobało jej się, kiedy dziadek podwinawszy rękawy robił w kotle małe serki z koziego mleka.

Najbardziej pociągał Heidi szum wiatru w koronach starych jodeł. Ciągłe ku nim wybiegała. Szmer gałęzi poruszanych wiatrem wydawał jej się piękny i tajemniczy. Heidi mogła godzinami stać z zadartą głową i przysłuchiwać się tym szmerom. Słońce nie grzało już tak mocno, jak latem i Heidi odszukała w szafie pończochy, buciki i sukienkę. Powietrze stawało się coraz surowsze i Heidi, kiedy stała pod jodłami, czuła, jak przewiewa ją na wskroś. Wybiegała jednak na dwór, nie mogąc usiedzieć w chałupie, kiedy wichur hulał i jęczał wśród drzew.

Potem zrobiło się zimno i Piotruś musiał chuchać w ręce, gdy z rana przychodził po kozy. Niebawem przestał zupełnie przychodzić, gdyż nagle przez noc spadł głęboki śnieg i przykrył wszystko.

Heidi zdziwiona wyglądała przez okienka. Śnieg zaczął znowu padać i duże płatki, coraz grubszą warstwą pokrywały ziemię, aż śnieg zaczął sięgać do okienka i coraz wyżej. Bardzo się to podobało Heidi i biegała od jednego okienka do drugiego w oczekiwaniu, kiedy śnieg zupełnie zasypie chałupę i trzeba będzie zapalić światło w jasny dzień. Ale do tego nie doszło. Następnego dnia przestało padać. Dziadek wyszedł i odgarnął śnieg wokół chaty. Odrzucał go na boki, przez co utworzyły się wały i góry. Teraz okna i drzwi były odsłonięte.

Heidi i dziadek siedzieli każde na swoim stołku przy ogniu, gdy nagle coś zaczęło łomotać na progu i drzwi się otworzyły. Był to Piotruś–Kozłarczyk, od stóp do głowy pokryty śniegiem. Musiał się przedzierać poprzez duże zwały śniegu, jednak nie odstraszyło go to od przyjścia do Heidi, bo nie widział jej już cały tydzień.

– Dobry wieczór – powiedział wchodząc. Stał jak mógł najbliżej ognia i nie odzywał się więcej, ale cała jego twarz promieniała z zadowolenia, że się tu znajduje.

Heidi przyglądała mu się zdziwiona. Kiedy chłopiec stanął przy ogniu, zaczął na nim tajać śnieg, tworząc wokół kałuże i Piotruś wyglądał po chwili jak wodospad.

– No, generale, co słyszać? – zapytał dziadek. – Straciłeś armię i musisz teraz gryźć rysik.

– A dlaczego musi gryźć rysik? – spytała Heidi.

– Zimą musi chodzić do szkoły – wyjaśnił dziadek – uczą go tam czytać i pisać, a że to nie tak łatwo idzie, więc się przy tym gryzie rysik, prawda, generale?

– Tak, to prawda – zapewnił Piotruś.

Heidi zaczęła wypytывать o wszystko, co się tylko mogło dziać w szkole.

Dziadek nie brał udziału w rozmowie, ale po drgających kącikach jego ust widać było, że słucha.

– No generale, natrudziłeś się porządnie, więc należy ci się posiłek, siadaj z nami do stołu.

Dziadek podniósł się i wyjął z szafy zapasy, a Heidi przysunęła stołki do stołu. Pod ścianą była przybita ławka. Dziadek sporządził więcej miejsc do siedzenia, gdyż Heidi ciągle chciała siedzieć blisko niego. Mieli więc teraz wszyscy troje na czym siedzieć. Piotrusiowi aż oczy na wierzch wyszły, kiedy zobaczył duży kawał suszonego mięsa, który mu Halny Stryjek położył na dużej kromce chleba. Już dawno chłopiec nie miał takiej uczty. Kiedy najadł się do syta, zaczęło się ściemniać i Piotruś musiał wracać do domu. Powiedział dobranoc i Bóg zapłać. Podeszedł do drzwi, zawrócił jednak i dodał jeszcze:

– W niedzielę przyjdę znowu, od dziś za tydzień. A babka prosiła, żebyś i ty któregoś dnia przyszła do nas.

Heidi miała teraz o czym myśleć. Była to dla niej nowość, że ma do kogo pójść. Utkwiło jej to w głowie i zaraz następnego dnia powiedziała:

– Dziadku, muszę pójść do babki, ona czeka na mnie.

– Za duży śnieg – odpowiedział dziadek niechętnie.

Ale ta myśl nie dawała jej spokoju. Skoro babka zaprosiła ją, z pewnością czeka na nią niecierpliwie. Każdego dnia Heidi powtarzała z pięć lub sześć razy:

– Dziadku, dziś muszę iść, bo babka już tak dawno czeka na mnie.

Czwartego dnia na dworze był już taki mróz, że śnieg trzeszczał pod nogami, ale słońce świeciło i zaglądało przez okno do chaty. Heidi, siedząc przy obiedzie powtórzyła jak zwykle:

– Dziś muszę pójść do babki, bo już naprawdę za długo na mnie czekała.

Dziadek wstał od stołu i wszedł na strych. Zdjął ciężką płócienną kape, którą przykrywała się Heidi, i powiedział:

– Chodź!

Uradowana Heidi wybiegła w podskokach. Na dworze było tak pięknie, że zachwycona wołała raz po raz:

– Chodź, dziadku, chodź na dwór! Ziemię i jodły pokrywa srebro i złoto!

Dziadek poszedł do szopy i wyniósł stamtąd szerokie sanki. Usiadł na sankach, wziął dziewczynkę na kolana, owinał ją w płótno, by nie przemarzła, objął mocno lewą ręką, gdyż jazda wymagała ostrożności. Potem odbił się mocno nogami. Sanki pomknęły natychmiast tak błyskawicznie w dół, że Heidi miała wrażenie, iż fruwa w powietrzu. Ani się spostrzegła, jak sanki zatrzymały się przed chatą Piotrusia-Koźlarka. Dziadek postawił ją na śniegu, rozwinął z płótna i powiedział:

– Wejdz do nich, a jak zacznie się ściemniać, to przygotuj się do drogi i wyjdź przed dom!

Zawrócił sanie i pociągnął je z powrotem pod górę.

Heidi otworzyła drzwi i znalazła się w małej, ciemnej izdebce. Domyśliła się, że to kuchnia, bo w kącie stało palenisko, a na półce poustawiane były talerze. Następne drzwi prowadziły do drugiej izdebki, też ciasnej i ciemnej. Ledwo przestąpiła próg, znalazła się przy stole, przy którym siedziała kobieta i reperowała kurtkę Piotrusia

Heidi od razu poznała tę kurtkę. W kącie siedziała skulona staruszka i przędła. Heidi domyśliła się, kto to jest. Podeszła do niej i powiedziała:

– Dzień dobry, babko, nareszcie przyszłam do ciebie. Myślałaś chyba, że już nie przyjdę.

Staruszka podniosła głowę i wyciągnęła rękę. Dotknęła ręki Heidi, namyśliła się przez chwilę, potem rzekła:

– To ty jesteś dziewczynką od Halnego Stryjka, ty jesteś Heidi?

– Tak, właśnie przed chwilą przyjechałam z dziadkiem w sankach.

– Jakże to możliwe! Taką masz ciepłą rękę! Brygido, czy Halny Stryjek przyjechał tu z małą?